

# Gotuj

z papieżem

**JAKUB ĆWIEK**

Jakub Ćwiek

Gotuj z papieżem

# Od Autora

Każde opowiadanie tutaj ma swój własny wstęp bądź posłowie, uważam więc, że rozpisywanie się w przedmowie byłoby zwyczajnym gadulstwem. Życzę Wam wszystkim miłej lektury...

*Zbiór dedykuję Eli Gepfert. Mnie samego zaskoczyło, jak wiele jej zawdzięczam. Dziękuję Ci, Elu!*

Oj, oberwie mi się za ten tekst. Skąd takie przypuszczenie? Bo zebrałem już w czapkę za sam pomysł. Marudziła mi rodzina, ostrzegali niektórzy znajomi, byli też tacy, co pytali: „Po co ci to, człowieku?”.

A prawda jest taka, że od dawna chciałem napisać coś w tym duchu. Rzecz o manipulowaniu tłumem, o płytkości w podejściu do spraw głębokich, o zmieniających się punktach widzenia i rodzeniu się bzdurnych dogmatów. Przede wszystkim jednak chciałem napisać coś o krzywdzie, jaką wyrządzono papieżowi i jego dziełu. O tym, że jakoś tak, kurde, mało kogo interesowało, co ma do powiedzenia, bo dużo zabawniejsze było traktowanie go jak świątobliwy odpowiednik Małysza. Kremówki? Papieskie pociągi? Ulica w każdym mieście? Stosy książek? A teraz jeszcze filmy i komiksy...

To, co napisałem, jest fikcją w tym sensie, że nigdy się nie zdarzyło. A pewnie nawet jeśli się wydarzy, nie potoczy się tak groteskowo, jak tutaj pokazałem. Choć... cholera jasna! Słyszeliście kiedyś audycje toruńskiego radia – katolickiego głosu w każdym domu? Wystarczy raz posłuchać i człowiek niczego już nie może być pewny...

*Dedykuję: Krzysiuwi „Bookatowi” Bortelowi. On to bowiem wygłosił zdanie o przepisie na bestseller, które stanowiło załączek pomysłu. Dobra robota, Krzysiu. Przytrzymam dla Ciebie ciepłutkie miejsce na moim stosie.*

# GOTUJ Z PAPIEŻEM

I napisz tu, kurwa, bestseller! – powiedział pewnego razu Robal, patrząc z niesmakiem na empikowy stolik nowości. To był bodaj październik albo kwiecień – nie pamiętam dokładnie – czyli jeden z tych miesięcy, gdy wszyscy nagle sobie przypominają, jakim to niesamowitym kolesiem był papież i jak to fajnie byłoby o nim poczytać.

Dlaczego akurat wtedy? Proste – w październiku papież został wybrany przez konklawe, w kwietniu umarł. Dokładnie drugiego kwietnia o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści siedem. Był czas, że każdy w tym kraju znał tę datę co do minuty.

Jak mówiłem, to musiał być jeden z tych miesięcy, bo wspomniany już stolik z książkowymi nowościami uginał się wręcz od książek papieża i o papieżu. Tych drugich było, rzecz jasna, nieporównywalnie więcej. Kolejny biskup składał świadectwo we wspominkowej publikacji, szef ochrony z Castel Gandolfo dzielił się wrażeniami i anegdotami związanymi z Janem Pawłem II, a aktorzy z najpopularniejszych polskich seriali mówili w wywiadach, jaki to wielki wpływ na ich życie miały papieskie słowa i przesłanie.

Gdzieś w tym wszystkim gubiły się pojedyncze egzemplarze książek Cobena, Kinga czy Grocholi, tak lubianej przez panie. Właściwie na stoliku nie istniało nic prócz... A nie, wróć! Bo mało brakowało, a spaliłbym puentę...

Oprócz książek o papieżu całkiem nieźle radziły sobie jeszcze książki kucharskie. Od tego Francuza z telewizji po siostrę Anastazję i jej przepisy – wszystkie były w twardych oprawkach, ze zdjęciami smakołyków i prostą instrukcją, jak olśnić gości, mając na podorędziu kilo mąki, jajko i dwa słoiki dżemu. Nakłady miały nieporównywalnie mniejsze od książek papieskich, za to sezon na nie nigdy się nie kończył.

No więc stoimy sobie przed tym stolikiem umiejscowionym przy samym wejściu, gapimy się to na książki, to na siebie i wtedy właśnie mówi mi Robal:

– I napisz tu, kurwa, bestseller. Jeśli nie nazwiesz go „Gotuj z papieżem”, to jesteś w dupie.

Pamiętam, śmiałem się z tego. Brzmiało jak dowcip, sami przyznacie. No i trzeba było jeszcze widzieć jego minę, gdy to powiedział – jakby ktoś beknął mu w twarz, słowo daję!

Teraz jednak, gdy o tym pomyślę, nie jest mi do śmiechu. W jakiś sposób bowiem – choć nikt nie mógł tego przewidzieć – to wszystko zaczęło się właśnie wtedy...

\*\*\*

Mam na imię Remek. I tak właśnie na mnie mówią. Remek albo Remo. Znacie pewnie ten typ – z zasady unikający imprez prowincjonalni studenci, którzy są tak nijacy, że nawet nie dorobili się ksywy. To od takich

jak ja ściągaliście na pisemnych. Myślę, że się rozumiemy...

Chłopaki z roku generalnie mnie lubili, tak jak lubi się nieszkodliwych wariatów – kujonów. Ot, zagadali czasem na korytarzu, bywa, że obśmiali za plecami, ale też zapraszali na piwo, gdy szli większą grupą po zajęciach.

Z dziewczynami wychodziło mi gorzej. Z kilkoma wymieniałem się notatkami podczas wieczornych spotkań w kawiarni, jedna – kompletnie pijana – polizała mnie po uchu, myśląc na imprezie z Robalem.

Całowałem się też z Ewką, jak się szykowała do spektaklu – chciała zostać aktorką i czasem miała takie walnięte pomysły. Nie protestowałem... Ewka to niezła sztunia.

No dobra, macie już chyba pełen obraz, co? Jeśli nie, dodajcie do tego brodę, kilka flanelowych koszul, długie włosy i gitarę w kącie akademickiego pokoju...

A właśnie, bo mieszkam w akademiku. Z Robalem. Pokój trzydzieści dziewięć, dom studencki numer jeden, miasteczko akademickie Ligota, Katowice. Jakbyście z przodu dodali moje nazwisko, list dojdzie z dowolnego miejsca w kraju. To znaczy – jeśli nie zgubią go na poczcie...

Ale miało być o mnie i Robalu. Do pokoju trafiliśmy trochę z loterii, a trochę po kierunku studiów. Ja właśnie zaczynałem kulturoznawstwo, a mój współlokator po niezłych bojach i trudach rozpoczął drugi rok tego kierunku. Kierownik akademika, wygrzebawszy ze stosu innych nasze teczki, uznał, że dobrze nam będzie razem. No i chyba utrafił, bo sporo nas łączyło.

Najbardziej chyba to, że obaj chcieliśmy studiować co innego – ja grafikę na ASP, Robal reżyserię na Wydziale RiTV – i obu nam życie

dokopało, zsyłając na kierunek awaryjny. Sprowadzeni więc do parteru, razem grzebaliśmy się w mule codzienności z dala od marzeń i wielkich planów... Niespełniony grafik i sfrustrowany pisarz doszufladowy z wielkimi ambicjami. Wydawałoby się, nieszkodliwa kombinacja, ale to właśnie my dwaj wywołaliśmy całe to zamieszanie. A właściwie... Nie, po kolei.

Oto jak było:

\*\*\*

Wróciłem do akademika jakoś tak po piętnastej. Trochę się zdziwiłem, że na recepcji nie było klucza, bo we wtorki to ja kończyłem wcześniej. Robal miał wtedy ćwiczenia po południu, a potem te kursy przygotowawcze na Bytkowie, gdzie mieścił się Wydział Radia i Telewizji. No ale przecież, pomyślałem, student nie tramwaj, nie musi ściśle trzymać się rozkładu. Pozdrowiłem więc panią Kazię – ją akurat lubiliśmy jako jedyną z tych zołz recepcjonistek – i pchnąwszy przeszkłone drzwi oddzielające hol od schodów, ruszyłem korytarzem.

– Cześć – powiedziałem, wchodząc do pokoju. Zaraz przy wejściu po lewej była umywalka, a pod nią krzesło. Cisnąłem na nie plecak i zerknąłem w lustro. Wyglądałem tak samo źle jak zwykle. – Urwałeś się?

– Cześć – odparł siedzący na łóżku Robal. – Zwolniłem.

Odwróciłem się gwałtownie i spojrzałem na niego, nie kryjąc zdumienia.

– Że jak? Tak u wykładowcy? Przytaknął.

Zagwizdałem pod nosem i pokręciłem głową. To była, nie ukrywam, nowość i spore zaskoczenie. Z nas dwóch to ja byłem tym, który się grzecznie zwalnia. Jemu zazwyczaj szkoda było czasu na ganieanie za wykładowcami wcześniej niż pod koniec sesji. Coś więc musiało być nie tak...

Zułem buty bez rozwiązywania sznurówek i wszedłem dalej. Siadłem naprzeciwko współlokatora, na swoim łóżku. Dopiero teraz dostrzegłem, że obok Robala leży, dotąd ukryte za jego udem, pudełko po butach. Wieczko było odsunięte, a ze środka wystawało mnóstwo zapisanych świstków, serwetek i kartek z notesów. Był też plik czarno-białych zdjęć spiętych recepturką.

– Co to?

Wzruszył ramionami.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zmarł brat mojego dziadka? Ten podróżnik? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Ten, po którym miałeś dostać spadek?

– Właśnie ten, kurwa! – Wykonał niedbały ruch ręką, wskazując pudełko. – No i dostałem...



Naraz wszystko stało się jasne. Robal dostał od rodziny cynk o spadku, więc podekscytowany zwolnił się z zajęć – nie musiał w tym celu wymyślać specjalnie żadnej wymówki, więc co mu szkodziło – i przyjechał jak najprędzej przeliczyć swój szmal. No i zamiast oczekiwanej koperty z gotówką dostał pudełko po butach pełne bibelotów po martwym staruszką. Nie dziwiła jego mina i niechęć do rozmowy.

Chciało mi się z niego śmiać, ale przygryzłem wargi. Jak mieszkasz z kimś na paru metrach kwadratowych przez kilka miesięcy po pięć dni w tygodniu, szybko się uczysz, że empatia to jednak ważna sprawa... a

poczucie humoru najlepiej mieć wspólne. – Idziemy na piwo?

Skinął głową, jednak nie ruszył się z miejsca, więc i ja nie wstawałem. Wyciągnąłem tylko rękę i wyjąłem z pudełka plik zdjęć. Zdjąłem z nich gumkę.

– Mogę? – zapytałem. Właściwie powinienem był od tego zacząć, ale Robal nie przejął się naruszeniem etykiety.

– Możesz je sobie, kurwa, nawet wziąć, jeśli chcesz! – Wstał gwałtownie, strącając pudełko na ziemię. Kartki, świstki i serwetki wysypały się na podłogę, odsłaniając ułożone na dnie maleńkie woreczki. Przyklęknąłem, by sprawdzić, co to takiego.

– No idziesz na to piwo czy nie?! – ryknął na mnie. Chociaż był chudy jak patyk, a z wyglądu sprawiał wrażenie raczej niegroźnego, gdy krzyczał, autentycznie się go bałem. – I zostaw to gównu! Jakies przyprawy albo co...

– Jasne, Robal – powiedziałem. Podniosłem się z klęczek i wsunąłem zdjęcia do kieszeni bluzy. Jakoś tak odruchowo, rozumiecie. A potem wyszliśmy.

\*\*\*

Chcieliśmy pójść „Za szybę” albo do „Strachola” – jednego z dwóch lokali na miasteczku, niestety, oba wciąż jeszcze były zamknięte. Skończyło się więc na spożywcza i dwóch puszkach tyskiego. Usiedliśmy z nimi na ławce w parku za akademikami.

Nie odzywałem się. Bo i niby cóż miałem powiedzieć? To nie mnie runęły marzenia o spadku – grubej kasie znikąd, za którą można by kupić

laptop, a może i jakiś używany samochód. Robal opowiadał o tym wujku, jakby ten był jakąś krzyżówką Billa Gatesa i Indiany Jonesa. Mógł się więc czuć zawiedziony, że jedyne, co dostał za swą wiarę i opowieści, to pudełko, a w nim trochę fotek. Upiłem łyk piwa i postawiłem puszkę na ziemi, pomiędzy niedopałkami i łupkami ze słonecznika usypanymi tu gęsto jak leśne poszycie. Sięgnąłem do kieszeni po zdjęcia.

Przed nami przebiegły jakieś dwie laski. Ubrane były skąpo, w kuse spodenki i obcisłe topy, na uszach słuchawki empetrójek przypiętych do paska. Patrząc na ich podskakujące piersi, zastanawiałem się, w którym akademiku mieszkają i czy już je kiedyś widziałem. Robal nawet głowy nie podniósł.

– Sztunie, Robal – szepnąłem, szturchając go w ramię.

– Aha – odparł. Obrócił puszkę między palcami i zaczął czytać napis drobnym druczkiem, jakby naprawdę chciał wiedzieć, z czego robią tyskie. Źle z nim było...

Westchnąłem i zacząłem przeglądać fotografie. Czuję, że powinienem jakoś go pocieszyć, ale, cholera, nic nie przychodziło mi do głowy. To on zawsze był tym od gadania, pocieszania i mówienia, że wszystko będzie „zajebiste jak stepujące misie”. Nie wiem, skąd wziął to hasło, ale zawsze mnie rozwalalo i poprawiało mi humor. Teraz było mi głupio, że nie umiałem się zrewanżować w podobny sposób.

Snułem te rozważania, a moje palce pracowały automatycznie, przekładając fotkę za fotką z wierzchu na spód stosu – jakbym tasował karty.

Wszystkie zdjęcia przedstawiały wuja podróżnika szczerzącego się do obiektywu w różnych zakątkach

świata. I tak był wujek na jakimś

arabskim targu, w afrykańskiej dżungli, otoczony przez sięgających mu do pasa Pigmejów, wpylający sushi w japońskiej knajpie... Wszędzie ubrany tak samo – w dzinsy i koszulę z krótkimi rękawami i pagonami – wszędzie jednakowo głupio wyszczerzony.

Choć zaznaczam, to tylko moje zdanie. Gdy kiedyś w podobny sposób powiedziałem o uśmiechu Redforda, to własna matka spojrzała na mnie, jakbym się właśnie przyznał do wielokrotnego morderstwa. Powiedziała też – pamiętam jak dziś – że się nie znam, a to, że żyję, zawdzięczam wyłącznie faktowi, iż mój ojciec, gdy się uśmiechał, wyglądał podobnie do wspomnianego aktora. No cóż... moim zdaniem, wujo Robala był jeszcze bardziej podobny, szczerzył się zaś identycznie. – Uroczo – powiedziałyby moja matka. – Głupio – mówię ja.

Przełożyłem kolejne zdjęcie. Wujo podróżnik na jakimś Kaukazie czy w innej Gruzji gotuje ludziom na ulicy. Podaje talerz zupy jakiejś starowince i – o święta odmiano! – nie patrzy w obiektyw. Ta fotka była nawet ładna. Taka autentyczna.

Podniosłem piwo z ziemi i szturchnąłem Robala. – No już, długo tak będziesz?

Zero odpowiedzi. Wzruszyłem ramionami, spróbowałem przełożyć kolejne zdjęcie. Nie szło mi jedną ręką, więc znowu odstawiłem piwo, tym razem na ławkę – puszka akurat mieściła się w szczeliny między deskami, więc można ją było postawić na betonowej podstawie. Przełożyłem fotografię i...

– Nie no, kurwa, bez jaj! – wykrzyknąłem ze szczerym zdumieniem. – Widziałeś?

To nareszcie obudziło Robala. Widząc, jak się prostuje, spogląda najpierw na mnie, a potem sięga po zdjęcie, odkryłem w sobie nowy talent i nowy sposób na Robala. Ciekawość jako naturalny antydepresant. Gdybym wylądował na psychologii, napisałbym o tym magisterkę...

Mój współlokator przyjrzał się zdjęciu, odwrócił je i spojrzał na podpis z tyłu. Potem znowu na zdjęcie. I na mnie.

– Nie wiedziałem, że się znali – powiedział. – To znaczy wujo studiował kiedyś w Krakowie, ale...

– ...nigdy nie wspominał, że jako student grywał w piłę z papieżem?!

– Wtedy to jeszcze nie był papież.

Machnąłem ręką, bo co mi tu będzie chrzanił. Papież to, kurwa, papież, nie?

Ten na zdjęciu stał uśmiechnięty, ze skrzyżowanymi nogami, ubrany w koszulkę na ramiączkach i krótkie spodenki. Jedną rękę opierał na biodrze, drugą przewiesił przez ramię wuja podróżnika. W przeciwieństwie do kolegi nie szczerzył się do obiektywu, tylko uśmiechał tajemniczo jak filmowy gwiazdor.

Przełożyłem zdjęcie i znowu ten sam duet, tym razem na fotce zbiorczej. Jakichś dwudziestu chłopaków ustawionych jak drużyna piłkarska do fotki dla sponsora; papież i wujo najstarsi.

– Musieli się nieźle kumpłować – stwierdziłem.

– Ano musieli. – Robal wziął ode mnie fotki, zerknął na nie przelotnie i wcisnął do kieszeni. – Spróbuję je gdzieś sprzedać, może będzie z tego parę groszy.

– Chcesz sprzedać rodzinne zdjęcia? – zdziwiłem się. – Kto ci je kupi?

– Mam kumpla w Wadowicach. Poproszę, niech podskoczy do papieskiego muzeum i spyta, czy nie chcą.

Pokręciłem głową, upiłem piwa i cisnąłem puszkę do kosza. Ciepłe się zrobiło, dziadostwo.

– No, rób, jak uważasz – powiedziałem, wstając. – Ja bym tam je zatrzymał. Wiesz, rodzinne powiązania z papieżem..

Robal podniósł głowę i uśmiechnął się smutno.

– Laski na to lecą, co? Będę miał u stóp całe żeńskie zakony, ledwie skinę palcem.

– Tak właśnie, Robal! – westchnąłem. – Będę w pokoju, jakby co.

Gdy Robal robił się sarkastyczny, należało spieprzać.

\*\*\*

Jest jeszcze coś, co musicie wiedzieć o mnie i moim współlokatorze. Był czas, kiedy naprawdę działaliśmy sobie na nerwy. Dziś się z tego śmiejemy, opowiadamy znajomym jako anegdota i takie tam, ale wtedy, wcale nie tak dawno temu, naprawdę chcieliśmy się pozabijać. Jak wtedy na przykład, gdy Robal przychodził z panną, a ja nie rozumiałem subtelnych aluzji i wciąż siedziałem na łóżku z książką, albo... O, opowiem wam anegdotkę.

Kiedyś mój współlokator sporo imprezował. Miało to swoje plusy, bo dzięki temu zostawiał mi pokój na całe wieczory, ale była też mniej odpicowana strona medalu. Otóż wracał zazwyczaj koło trzeciej, a bywało, że czwartej – kompletnie napruty – i zaczynał ścielić łóżko.

JEBUT i kłapa uderzała o ścianę. SZUT, SZUT – tak pościel wylatywała z pudła. I znowu JEBUT na zamknięcie kłapy. Potem, już podczas ścielenia, niezliczone okurwy i syki, gdy sam się uciszał, bo przecież nie chciał mnie obudzić... Tak noc w noc.

Pewnego razu wpadłem więc na pomysł, że sam mu to łóżko pościelę. Dwie, trzy minuty mnie nie zbawia, a przynajmniej się wyśpię porządnie. Sami przyznacie, że sprytnie, prawda?

Jak się okazało, nie do końca. W środku nocy bowiem ktoś mnie budzi. Odwracam się, przecieram zaspane oczy i patrzę – Robal. Pijany w trzy dupy, ale autentycznie wzruszony.

– Pościeliłeś mi łóżko? – pyta. – Stary, jesteś zajebisty. Dzięki!

O tak, nie zawsze było między nami dobrze. Ale od tamtej pory ustaliliśmy sobie parę zasad. Na przykład żeby nie budzić bliźniego w środku nocy bez „naprawdę, kurwa, zajebiście ważnego powodu!”.

Proste, prawda? I dosadniejsze niż niejedno przykazanie. Ale jak się okazało, nie dla Robala...

\*\*\*

– Hej, obudź się! Mam pomysł!

Powtarzał to już od pięciu minut, nie przestając szarpać mnie za ramię. Ja, nie wiedząc czemu, upierałem się udawać, że śpię. Głupio z mojej strony, bo od razu było widać, że nie odpuści. W końcu się złamałem.

– Czego?! – burknąłem w poduszkę.

– Muszę ci coś pokazać, wstawaj!

No, tego jeszcze brakowało, myślę, ale odwróciłem się i mrużąc oczy przed światłem, rozejrzałem po pokoju. Za oknem oczywiście noc w najlepsze – jak mogłoby być inaczej?

Na łóżku Robala – zaścielonym narzutą, jakby w ogóle się nie kładł – leżała poukładana w kilka stosików zawartość odziedziczonego pudełka po butach. Osobno listy, osobno woreczki z przyprawami, osobno zdjęcia. To

z wujem i papieżem było na samej górze.

Przyjrzałem się temu wszystkiemu z uwagą, usilnie szukając jakiegoś sensu, ale albo mój umysł jeszcze się nie obudził, albo zwyczajnie to wszystko żadnego sensu nie miało. Potrząsnąłem głową.

- No to mów wreszcie, o co chodzi. Czy tam pokazuj...

Robal uśmiechnął się jak iluzjonista przed występem, złożył dłonie i wyłamał knykcie.

– Myślę sobie, że mam pomysł, jak z moim łbem i twoim talentem zarobić naprawdę wielką kasę. Zainteresowany?

Tak naprawdę jedyne, co mnie wtedy interesowało, to poduszka i perspektywa porannej pobudki. Mimo to skinąłem głową. W końcu niezależnie od tego, co bym zrobił, i tak prędzej czy później opowiedziałby mi o swoim pomysle. Tylko nagle to „prędzej” zrobiło się kluczowe.

– No, nawijaj – powiedziałem i ziewnąłem ostentacyjnie. A niech wie, że cierpię!

Nie wzruszyło go. Ani ziewnięcie, ani tarcie oczu, ani w ogóle nic. Był tak zaślepiiony ideą – tym

swoim świętym pomysłem – że równie dobrze mógłbym zacząć krwawić z uszu, a on i tak by tego nie zauważył. Podsunął sobie krzesło, to spod umywalki, odwrócił je i usiadł okrakiem.

– Wiesz, kim był mój wujo, nie? – zapytał.

– Podróżnikiem.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

– No właśnie, był podróżnikiem. Ale nie takim zwyczajnym. Był też, uwaga, uwaga... kucharzem amatorem. Z jego listu, który znalazłem w tych papierach, wynika, że przemierzył w sumie cały świat w poszukiwaniu nowych przepisów, przypraw i kulinarnych dodatków. Część z nich, te najbardziej unikatowe, przesłał mi.

Wskazał ręką na woreczki z przyprawami i wyszczerzył się głupio. – Matka zawsze mi mówiła, że z całej rodziny mnie lubił najbardziej.

Kolejny raz przetarłem oczy i uważniej przyjrzałem się Robalowi. Czyżbym miał zwiady? Nagle zaczął doceniać otrzymany spadek? A może zwyczajnie ktoś mu powiedział na przykład, ile warte są przyprawy w woreczkach? Jeśli rzeczywiście były takie unikatowe, to zaoferowane właściwym osobom mogły przynieść niezły szmal. Znaczący tak właśnie wtedy pomyślałem. Okazało się, że nie byłem nawet blisko.

– Możesz wziąć te przepisy? – poprosił Robal, wskazując stosik świstków, serwetek i karteluszek. – Tam pod nimi jest kartka pocztowa, ale jeszcze na nią nie patrz. Na razie przyjrzyj się zapiskom wuja.

Zrobiłem, jak kazał – sięgnąłem po kartki i przejrzałem kilka pierwszych z góry. Wszystkie zaczynały się od listy składników, a potem przechodziły w krótką notatkę zawierającą okoliczności zdobycia przepisu, a także sposób przyrządzenia potrawy. Wujo podróżnik nie był typem gawędziarza, ale nawet swymi zwięzłymi, lakonicznymi opisami umiał zaciekawić. A może to egzotyka nieznanymi dań tak skupiała uwagę?

Pismo miało wujo lekko pochyłe, w wielu miejscach kanciaste, z wysokimi, smukłymi jak wieże wielkimi literami. Pełne też było cech indywidualnych, na przykład pisząc małe „a”, laseczkę stawiał osobno za kółeczkiem, tak że się nie łączyły. A „o” pisał odwrotnie do ruchu wskazówek zegara...

Robal zaczął nerwowo wybijać rytm na poręczy krzesła, co stanowiło

wyraźny znak, że się niecierpliwi. Odłożyłem kartki na stolik i spojrzałem na niego.

– No dobra, masz tu parę egzotycznych przepisów. – Wzruszyłem ramionami. – I co chcesz z tym zrobić? Wydać książkę kucharską?

Uśmiechnął się półgębkiem. Kiedyś mówił, że widział taki grymas w jakimś filmie i tak długo ćwiczył, aż wyszło mu coś podobnego. Uśmiech oznaczał: „Hej, stary, a teraz patrz na to!”

– Podnieś jeszcze raz te kartki i wyciągnij pocztówkę, o której mówiłem – polecił.

Posłusznie wyciągnąłem spod notatek wuja widokówkę z Zakopanego. Była czarno-biała i przedstawiała Giewont. Miała tandetną wycinaną ramkę jak na starych zdjęciach, a na lewym rogu znajdował się odcisk po szklance z kawą. Zerknąłem na Robala, wtedy on zakreślił palcem młynka, nakazując mi, bym odwrócił pocztówkę.

Treść ściśnięta na wyznaczonej do tego połowie kartki nie zawierała nic nadzwyczajnego. Kurczę, jak się skupię, to nawet będę w stanie ją przytoczyć, w końcu maglowałem ją tyle razy!

*Drogi Tadeuszu,*

*Znowu jestem w naszych ukochanych górach i jak zwykle ugościły mnie jak tylko one potrafią. Pogoda i warunki wspaniałe, towarzystwo wyborne, a jedzenie jak zwykle znakomite, choć daleko mu jednak do Twoich specjałów. Obawiam się, że przy następnym spotkaniu również nadużyję w tym względzie Twojej gościnności. Póki co serdecznie pozdrawiam i niech Bóg ma Cię w swej opiece.*

*Karol*

No dobra, przyznaję, że z początku nie załapałem. Może to przez haniebną godzinę i senność, a może zwyczajnie nie jestem za dobry w

takie układanki, ale naprawdę nie skumałem, kto był nadawcą kartki. Stąd też moja reakcja mogła być tylko jedna.

– No i? – zapytałem. Robał aż zamrugał.

– Jak to, kurwa, no i?! Nie rozumiesz, co to jest?!

Popatrzyłem jeszcze raz na kartkę. Pismo zdecydowanie mniej czytelne od pisma wuja, bardziej złane, choć na przykład po „i” zawsze występowała przerwa, jakby piszący nie mógł się doczekać, aż postawi kropkę. Wielkie „S” pisane od górnego zawijasa ku dołowi, a małe „t” w środku przypominało małe „ł”. To w zasadzie wszystko, co mogłem powiedzieć tak na pierwszy rzut oka. Nadal jednak nie rozumiałem, o co chodzi.

– To kartka od papieża do mojego wuja! – nie wytrzymał Robał. Najwyraźniej nie mógł dłużej znieść mojego tępego spojrzenia. – Karol to Karol Wojtyła, łapiesz? I właśnie w tej kartce dziękuje mojemu wujowi za to, że ten coś mu ugotował! Oni naprawdę dobrze się znali!

Skinąłem głową. I uznałem, że jeśli będę milczał, to szybciej się dowiem, o co tak naprawdę biega mojemu współlokatorowi. Poznam jego wspaniały pomysł i będę mógł pójść spać.

– Pamiętasz, jak kiedyś w księgarni wymyśliłem tytuł dla bestsellera wszech czasów? Staliśmy przy stoliku z nowościami i...

– „Gotuj z papieżem”? – skojarzyłem.

Robał rozpromienił się.

– Tak właśnie, stary. Co ty na to, byśmy wydali taką książkę?

\*\*\*

Ja to chyba jednak nie umiem opowiadać. Znowu mało brakowało, a zapomniałbym o najważniejszej sprawie. Mianowicie o niezwykłych talentach moich i Robala.

Jego jest całkiem niezły – umie pisać. I to sprawnie. Bez trudu dobiera słowa, łączy je potem w zdania, akapity i strony. Dialogi w jego tekstach są wiarygodne, a opisy sugestywne. Do tego ma absolutnie genialne pomysły... i to w zasadzie stanowi jego największy problem. Wystarczy, że pisze tekst dłuższy niż parę stron, a już jego własne koncepcje zalewają go, przytłaczają, szarpią każda w swoją stronę. Myślę, że jeśli kiedyś uda mu się napisać powieść, młodzi autorzy będą z niej korzystać jak ze źródła natchnienia. Potem na pytanie: „Skąd pan czerpie pomysły?” będą odpowiadać: „Z książki Robala”. Tak to widzę.

Ja z kolei, oprócz tego że całkiem niezłe rysuję – marzyło mi się ASP i robienie komiksów – mam pojęcie o charakterach pisma. Znaczy tak, wiecie, instynktownie. Nie czytałem w życiu żadnej książki o grafologii i nie znam fachowych terminów, ale umiem rozpoznać człowieka po tym, jak stawia litery, porównać kawałki tekstu i takie tam. Umiem też, jeśli tylko dostanę wystarczająco dużo próbek i czasu na ćwiczenia, podrobić dowolny charakter pisma. Robał mówi, że mam lepiej niż on – mogę zarabiać na fałszywych usprawiedliwieniach do szkoły dla dzieciaków czy wpisach do indeksów dla studenckiej braci – ale mnie jakoś nigdy to nie ciągnęło. Nie żebym miał skrupuły, zwyczajnie bałem się wpadki.

Plan Robala miał zabezpieczenia przeciw wypadkom właściwie na każdym etapie. Był też rozpisany w najdrobniejszych szczegółach. I właściwie gdyby nie to, że uważałem go za kompletnie nierealny, przypominałby całkiem rozsądny pomysł na zarobienie olbrzymiej góry pieniędzy.

\*\*\*

Tak mówiąc szczerze, to nawet nie wiem, czy się zgodziłem. To znaczy wtedy w nocy, gdy mnie zapytał, co ja na to. Powiecie pewnie, że musiałem powiedzieć „tak”, skoro ledwie wstałem, uraczył mnie szczegółami planu. Ale nie znacie jeszcze dobrze Robala. Nie zdziwiłbym się, gdyby uważał odmowę za nazwę wyspy na Pacyfiku.

W każdym razie tamtego ranka tkwiłem już w tym jego pomysłe całym zaspanym, rozziwanym sobą. Od czubka rozwichrzonych włosów po bosc stopy stanowiłem element planu mojego współlokatora. Jeden z ważniejszych, pozwolę sobie dodać z dumą.

A oto co Robal wymyślił:

Papież i wujo podróżnik byli kiedyś przyjaciółmi. Takimi, wiecie, prawdziwymi, jak z książek czy filmów. Wspólne granie w piłkę, wypadki na miasto, nocne rozmowy o wszystkim, a gdy coś się działo, to jeden za drugim stawał murem. Czasy były trudne, więc często zdarzały się okazje, by mogli wypróbować swoją przyjaźń – jak w dawnych powieściach.

Potem – gdy już papież został papieżem, a wujo ruszył w świat – ich więź siłą rzeczy się rozluźniła, ale nadal regularnie do siebie pisywali. Wujo dzielił się ze swoim przyjacielem nowo zdobytymi przepisami, anegdotami z podróży do obcych krajów i kultur, a papież opowiadał o trudach pontyfikatu i życiu w Watykanie oraz wyrażał swoje opinie na temat zaproponowanych przez wujka potraw. I właśnie to ostatnie stanowiło sedno planu.

– Zrobimy z papieża smakosza i łasucha – stwierdził Robal, nie kryjąc podekscytowania. – Ludzie lubią widzieć w nim człowieka, swojaka. A cóż jest bardziej ludzkiego, przyziemnego niż jedzenie?

Zastanawiacie się pewnie, jak Robal chciał to wszystko wcisnąć ludziom, mając do dyspozycji jedynie dwa czy trzy zdjęcia i kartkę z Zakopanego?... A nie, przecież już wiecie o moim fałszerskim talencie! No więc właśnie tak to miało wyglądać: Robal napisze listy papieskie i wujowskie – naśladowując oczywiście ich styl pisania – a ja potem to wszystko starannie przepiszę, podrabiając charakterystykę pisma obydwu. Proste, prawda?

Oczywiście powiedziałem Robalowi, że do pierdła mi się nie spieszy, ale zapewnił mnie, że nie ma co trząść dupą, bo na to też ma sposób.

– Wyślę kopię tego, co zrobimy, do biskupów. Napiszę, że dostałem w spadku te zapiski wraz z pełnymi prawami do nich i teraz szykuję się, by je wydać. Zapytam, co oni na to, czy mają coś przeciwko i czy mogliby, z łaski swojej, sprawdzić autentyczność papieskich listów. W końcu nie chcielibyśmy żadnych fałszerstw, a mnie prywatnie na grafologa nie stać. Jeśli zauważą, że to podróba, wycofam się grzecznie i jeszcze przeproszę za kłopot. Żadnych zysków, trochę straconego czasu i pracy. Za to jeśli się nie zorientują...

Nie musiał kończyć. Ja chyba też nie muszę, co? W końcu nietrudno się domyślić.

\*\*\*

Jeszcze tego samego dnia wzięliśmy się do pracy. To znaczy nie wiem dokładnie, jak to było z Robalem – powiedział, że będzie wieczorem, wziął kurtkę i wyszedł – ale ja na pewno nie próżnowałem.

Zjadłem coś na szybko i pojechałem do empiku. Coś mi się tam kołatało w głowie, że w którejś z papieskich książek były skany jego oryginalnych zapisków, i pomyślałem, że byłoby niezłe znaleźć coś takiego. Zdecydowanie to, co miałem teraz, nie wystarczało, by się należycie wczuć, a tym samym zabierać do pracy.

Na przystanku, a potem w autobusie długo oglądałem pocztówkę. Szukałem czegoś, co wcześniej przegapiłem, ale dostrzegłem tylko drobiazgi:

Charakterystyczne małe „p” pisane wciąż tak, jak uczono kiedyś w podstawówce – bez brzuszka, za to z falbanką płynnie przechodzącą do kolejnej litery. Dziś mało kto już tak pisze. Dalej, wielkie „O” łączy

się z małym „b” poprzez linię przy wierzchołkach obu liter zamiast tradycyjnie u ich podstaw...

Zanotowałem sobie, by koniecznie sprawdzić na innych próbkach, czy to ostatnie nie jest aby normą w przypadku, gdy papież łączył wielką literę z małą, ale wysoką. Miałbym wtedy do czynienia z mocną cechą szczególną.

Bo cechy indywidualne to absolutna podstawa. Taki fundament, rozumiecie? Można wyłapać mnóstwo ozdobników, a potem się ich nauczyć, ale jeśli pominiiesz którąś z cech indywidualnych, to leżysz. Spieprzyłeś robotę.

W końcu uznałem, że kartka nic już mi nie powie, więc schowałem ją do kieszeni i uśmiechnąłem się do ładnej dziewczyny stojącej przy wejściu. Wydeła pogardliwie wargi i odwróciła głowę. No tak, historia mojego życia...

W centrum, zanim jeszcze wybrałem się do empiku, podskoczyłem do sklepu dla artystów. Niby wiem, że większość z tego, czego potrzebowałem, znalazłbym i w salonie, ale jakoś tak przyzwyczałem się kupować w tej malutkiej klitce na Moniuszki. Znacie to na pewno. Wchodzisz do marketu i jesteś nikim. A wchodzisz do specjalistycznego sklepu, konkretnie wiesz, o co poprosić... Czujesz się od razu jak profesjonalista, nie?

Kartka pisana była ciemnoniebieskim atramentem, kupiłem więc w miarę podobny. Dlaczego? Nie wiem, czy wiecie, ale ludzie przedkładający porządne pióro nad długopis są jak miłośnicy fajek – z prostej czynności szybko czynią rytuał, a potem każda zmiana w owym obrządku sprawia im niemal fizyczny ból. Trzymają się zatem czy to tego samego tytoniu, czy – w przypadku piszących piórem – atramentu. Jeśli nie mogą tej samej marki, to przynajmniej utrzymają kolor.

Oprócz tego kupiłem parę arkuszy czerpanego papieru, trochę pergaminu i piórko do tuszu. W akademiku miałem co prawda parkera od ojca, ale nie chciałem nim ćwiczyć. Uznałem, że przyda się na później. Tak obciążony poszedłem do empiku szukać próbek pisma.

Znalazłem je bez trudu już na pierwszej półce, do której podszedłem. Radość jednak szybko ustąpiła przygnębieniu. Bo o czymś jednak, kurna, nie pomyślałem...

\*\*\*

– Jak długo trwała ta ich korespondencja? – zapytałem Robala, gdy już wrócił do pokoju jakoś tak po północy.

Od blisko czterech godzin pracowałem z kalką nad „Tryptykiem rzymskim” (wydanie ze skanowanymi stronami rękopisu) i mechanicznie

kopiowałem ledwo czytelne papieskie szlaczki. Szło mi, przyznaję, topornie.

Robal wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że od siedemdziesiątego dziewiątego do początku lat dziewięćdziesiątych? – zaproponował.

– No to jednak dupa! – skwitowałem, zgniatając kalkę i ciskając ją w kąt. – W takim razie nie mam żadnych próbek oprócz tej pieprzonej pocztówki.

– Nie rozumiem. – Robal popatrzył na mnie, na otwartą książkę ze skanami i znowu na mnie. – No przecież widzę, że masz całkiem sporo...

– ...próbek pisma papieża po dwutysięcznym roku – dokończyłem za niego. Strasznie żałowałem, że nie umiem się nakręcać. Z przyjemnością pokazałbym Robalowi, że też mam swoje mroczne oblicze. – Nie wiem, czy wiesz, matołku, ale pismo człowieka się zmienia. Nie tylko z wiekiem, ale i na przykład pod wpływem doświadczeń. Jeśli napisałbym listy z lat osiemdziesiątych pismem z początku nowego wieku, to każdy grafolog zwierzy smroda szybciej, niż ty zdążysz powiedzieć „pontyfikat”.

Przez chwilę mój współlokator wyglądał, jakby się zawiesił. W bezruchu patrzył tępo w jakiś punkt na firance tuż nad moją głową. Ledwo było widać, że oddycha.

W końcu, gdy już miałem zapytać, co mu jest, potrząsnął głową i zamrugał kilka razy.

– Zatem zrobimy inaczej – powiedział. – Niech będzie od lat osiemdziesiątych do śmierci.

– Ale kiedy to niczego nie...

Uciszył mnie, wznosząc rękę.

– Ty siedź teraz nad tym, co masz, a ja załatwię ci próbki z wcześniejszych lat.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, zupełnie jakby to było południe, a nie środek nocy.

Westchnąłem ciężko, po czym wstałem, by wymyć piórko. Miałem już dość pracy na dziś – nie chciałem od razu przeforsować ręki.

Zanim się położyłem, na wszelki wypadek pościeliłem Robalowi łóżko i napisałem kartkę, że jeśli mnie zbudzi, sam będzie sobie podrabiał listy. Tak zabezpieczony położyłem się spać.

\*\*\*

Przez kilka następnych dni nie widywałem mojego współlokatora prawie wcale. Ot, czasem wpadał do pokoju, rzucał coś na łóżko i wybiegał, nie marnując czasu na zjedzenie czegoś czy choćby zmianę dawno już przepoconej koszulki. O rozmowie z nim można było zapomnieć. Oczy miał zasnutę mgłą, a myśli jak kłęby pary uchodziły uszami z przegrzanego mózgu. Znaczy tak metaforycznie, wiecie. Nie chciałbym, żebyście pomyśleli, że wciskam wam kit albo inne sajens fikszyn...

Wtedy jeszcze się nie martwiłem. Póki co nie potrzebowałem rozmawiać z Robalem, by wykonywać swoją robotę – próbek pisma z ostatnich lat było dość.

Na początek zająłem się papieskimi emocjami. Czy wiecie, że po nachyleniu liter, a także ich szerokości można stwierdzić, w jakim humorze był piszący? Jeśli ktoś jest podekscytowany, pisze szybciej, a wtedy litery mimowolnie się nachylają, słowa bardziej się łączą i zlewają.

Gdy litery mają szersze linie – większe rozwarście stalówki, rozumiecie – znaczy to, że piszący nie kontrolował swej siły. Czyli skupiał się na czym innym...

Takich pierdół jest więcej i nie będę was nimi zanudzał, ważne jest jednak to, że większość z tego można wychwycić, nawet mając skan pisma. Wystarczy tylko uważnie się przyglądać albo jeszcze lepiej wodzić ołówkiem po literach, odwzorowując tak tempo, jak i naciski. Nie wiem, czy działa to na wszystkich, ale ja w ten sposób potrafię odczytać nastroje. Są jakby wpisane między wiersze.

Gdy już skończyłem z emocjami, przzeruciłem się na ogólne samopoczucie. U papieża to akurat prościzna, bo im bardziej był zmęczony, tym mocniej dawał mu się we znaki parkinson, ale oczywiście skupiałem się też na innych, subtelniejszych zmianach w piśmie. Niedomknięte litery, większe odstępy między nimi, a czasem przeciwnie – linie zachodzące na siebie za mocno, krzyżujące się, gdzie nie powinny...

Kiedy mrugamy, nie przestajemy pisać, a im jesteśmy bardziej zmęczeni, tym mrugnięcia są częstsze i trwają dłużej. Zamknijcie oczy i napiszcie dowolną literę – nawet startując z długopisem przy kartce – a zrozumiecie, o co chodzi.

Wreszcie po pięciu dniach miałem już wszystko rozłożone na czynniki pierwsze. Powycinane w paski zdania – ułożone w zależności od tego, czy pisał je papież wypoczęty, czy zmęczony, pogodny czy smutny – leżały na stole jako świadectwo mego tryumfu. Bo co z tego, że przede mną jeszcze sporo pracy i pewnie mnóstwo próbek, skoro już wszedłem w posiadanie czegoś na kształt klucza?! Wierzcie mi. W tamtej chwili czułem się jak ci goście, co złamali Enigmę.

\*\*\*

Późnym wieczorem tego samego dnia mogłem nareszcie pogadać z Robalem.

Myślicie, że mnie pochwalił? Że powiedział: „Dobra robota, Remek, tak, kurwa, trzymaj, a dziś



jeszcze będziesz ze mną w dolarowym niebie”? No to pomyłka. Zrypał mnie bowiem aż miło.

Z początku, gdy mu tłumaczyłem, co już zrobiłem, było nawet sympatycznie. Kiwał głową, uśmiechał się, łypał oczami to na mnie, to na stosiki, co jakiś czas popijając smak bogactwa gorzką herbatą. A potem wystarczyło jedno zdanie i się wściekł.

– No i teraz czekam tylko na resztę próbek – powiedziałem. To właśnie było owo zdanie.

Robał jakby się zakrztusił. Z miejsca poczerwieniał, a potem poderwał się z krzesła i doskoczył do swojego łóżka, podrzucając znoszony tu przez tydzień stosik reklamówek i papierowych teczek. Z jednej z nich wysypały się kartki oznaczone pieczętą papieskiego muzeum w Wadowicach.

– Czekasz?! Przecież tu masz wszystko! – krzyknął. – Znoszę ci to, baranie, od tygodnia, a ty nawet nie spojrzalesz?!

– Leżało na twoim łóżku – odparłem, kuląc się na krześle. Niby wiedziałem, że nic złego nie zrobiłem, ale mało to niewinnych dostaje po dupie? – Nie pomyślałem, że...

– No właśnie – przerwał mi Robal, ale już nieco spokojniej – nie pomyślałeś. No to bierz się teraz do roboty. Czas leci, brachu, a niewykorzystane pomysły wracają do puli ludzkości szybciej, niż się spodziewasz. Nie ma na co czekać! Jutro ktoś inny wpadnie na to samo i nas okradnie.

– Pewnie – mruknąłem, choć w myślach wyśmiałem taką ideę. Któż jeszcze mógłby być tak walnięty?

Zabrałem się do przeglądania teczek od Robala, a on tymczasem przeszedł przez pokój i wyciągnął z plecaka plik zadrukowanych kartek. Rzucił je na biurko.

– W lewym rogu masz datę, jakby ci się pomieszały – powiedział. – Na niebiesko teksty wuja, na czerwono papieża. Wiem, że i tak byś odróżnił, ale nie ma co kusić losu. Wstęp napiszę, jak już skończysz.

– Trochę to zajmie – zapowiedziałem, odkładając na bok próbki i sięgając po plik listów. – Moja robota jest gorsza.

To była prawda, ale przyznam, że nawet biorąc na to poprawkę, mój współlokator trochę mnie przestraszył, że wszystko napisał tak szybko. A co, jeśli nie dość dokładnie zbadał styl i popełnił jakieś karygodne błędy? Co prawda ten biskup, co to nie pamiętam, jak się nazywał – wiecie, ten najlepszy papieski kumpel, który potem mieszkał w Krakowie – odszedł już do Pana, ale mało to ludzi znających papieża i sposób, w jaki pisał?

W końcu jednak wzruszyłem ramionami. Jeśli Robal coś schrzanił, ja i tak tego nie zauważę, bo się nie znam. Musiałem założyć, że wie, co robi.

– Do końca przyszłego tygodnia zobaczysz pierwsze dwa listy – zapewniłem w końcu.

– Dobrze. – Skinął głową, wziął ręcznik i poszedł pod prysznic. Kumple z pokoju obok znaleźli go tam jakąś godzinę później śpiącego w brodziku pod strumieniem ciepłej wody.

\*\*\*

*...Przyrządzenie, kochany Tadeuszu, potrawy według ostatniego z podanych przez Ciebie przepisów przysporzyło mi ogromnych trudności. Zwłaszcza jej główny składnik, czyli pixii'gai, jest nie do zdobycia w całych Włoszech i musiałem go dyskretnie sprowadzić z Ameryki Południowej, czyli z miejsca, gdzie i Ty byłeś. Ale muszę Ci również przyznać, że po raz kolejny doskonale utrafiłeś w gust mojego podniebienia, ponieważ całość warta była włożonego trudu, a zjedzenie gotowego już dania było nie tylko ucztą ciała, lecz i ducha. Są bowiem takie potrawy, które sprawiają, że człowiek myśli: „Panie, mogłeś stworzyć wyłącznie pyry i wołowinę, a jednak pomyślałeś o pixii'gai”...*

*Z drobnych uwag: pozwoliłem sobie całość uzupełnić odrobiną pieprzu, a także...*

Oderwałem rękę od kartki i ostrożnie podniosłem pióro. Natychmiast podłożyłem bibułę pod stalówkę, by formująca się na niej kropla nie spadła jako kleks i nie spaprała całej roboty. Odłożyłem pióro na bok, a potem wreszcie wstałem, by rozprostować kości, no i coś zjeść. Cały dzień przeżyłem na porannej misce z płatkami i mlekiem.

Humor mi, nie ukrywam, dopisywał. Nic dziwnego, skoro szło nieźle i po czterech tygodniach byłem już mniej więcej w połowie książki. Póki co przepisywałem tylko listy „papieskie”, wychodząc z założenia, że te „wujowe” przyjdą mi dużo łatwiej. W końcu, jeśli tylko będą pisane jednolicie, nikt nie zada sobie trudu, aby je szczegółowo sprawdzać. To dawało pewien psychiczny komfort.

W ramach swej pierwszej tego dnia długiej przerwy zrobiłem sobie bułkę z paszтетem i poszedłem do chłopaków piętro wyżej zobaczyć, jakie ściągnęli ostatnio filmy. Sami nie mieliśmy w pokoju Sieci.

Nikogo nie zastałem, więc poszwendalem się po piętrach, a po jakimś kwadransie wróciłem do pokoju. Tam już czekał na mnie Robal rozpromieniony jak teletubisiowe słoneczko.

– Wstępna ekspertyza jest pozytywna! – zawołał na mój widok. Oczywiście nie miałem pojęcia, o czym mówi. I co równie oczywiste,

skinąłem głową z udawanym zrozumieniem, również się uśmiechając. Czasem ludzie tak robią, żeby nie wyjść na idiotów.

Widząc jednak, że mija dłuższa chwila, a Robal nic, tylko się na mnie gapi, postanowiłem w końcu zapytać:

– Ekspertyza czego?

– Papieskiego pisma, rzecz jasna. – Popatrzył na mnie z pobłażaniem i podał mi trzymany w rękach arkusz. Jak się okazało, było to pismo z kurii, gdzie z zaciekawieniem przeczytano list od biednego studenta, który dostał od wuja niezwykły spadek. – Musieli się bardzo przejąć – nie przestawał mówić Robal, podczas gdy ja czytałem biskupią epistołę – skoro z miejsca zlecili to grafologom. Ci mówią, że to na razie wstępna ocena próbki, ale stawiają, że wynik będzie pozytywny. Pytają o więcej materiału.

Gdy tak teraz o tym myślę, jedno wiem – powinienem się wkurzyć, że mi wcześniej nie powiedział. Znaczący nie powiedział, że coś wysłał. Może gdybym zapalał wówczas słusznym gniewem, pokłócilibyśmy się, obrazili na siebie, ale do niczego by ostatecznie nie doszło. Ja jednak – co jakoś nieszczęśliwie zdziwiłoby tych, co mnie znają – zapytałem tylko:

– A ile wysłałeś?

– Dwa pierwsze listy.

Wzruszyłem ramionami.

– Więc możesz im jeszcze sporo dostać.

Robal wyszczerzył pysk jak mała, wziął ode mnie papier i rzucił się na swoje łóżko.

– Ekspertyza pozytywna – powtarzał raz za razem, jakby to było zaklęcie. I kto wie, może rzeczywiście było...

\*\*\*

No dobra, odpuszczę wam resztę szczegółów, jak to coraz lepiej podrabiałem pismo papieża, a także większość późniejszych perypetii wydawniczych. Ani to ciekawe, ani wiele nie wnosi, ani nie chcę, żeby i wam coś podobnego przyszło do głowy. Zresztą większość spraw załatwiał Robal. Dla mnie robota skończyła się, w chwili gdy grafolodzy na sto procent potwierdzili autentyczność tekstu. Wierzcie mi, tak pijany jak ja w tym dniu nie był jeszcze żaden student w tym pieprzonym akademickim miasteczku. W końcu podrobiłem pismo papieża. Następny w kolejce był już tylko Bóg!

Uwag i komentarzy Robala co do wszelkich późniejszych trudności słuchałem już jednym uchem. Najwięcej narzekał na redakcję, która domagała się wyjaśnień, czym są obco brzmiące składniki potraw. Nie mieliśmy, rzecz jasna, pojęcia, nawet wstukiwanie w Google nie pomogło. Robal tłumaczył więc, że

nie liczy się wartość kulinarna książki, tylko informacyjna – gdzieś tam na jakimś zadupiu jadają takie potrawy i papież mówił, że są pyszne. W końcu jakoś przeszło, ale wtedy zgłosił się gość od szaty graficznej, mówiąc, że musi mieć fotografie potraw...

Mniejsza z tym. Sami rozumiecie, łatwo to ten Robal nie miał. Ale po prawdzie nie narzekał jakoś straszliwie, ba, nawet po jakimś czasie zaczęło mu się to podobać. Zwłaszcza kiedy już przyszła zaliczka, za którą mógł sobie kupić nie tylko laptop, ale i wypaśną komórkę, a do tego garniak. Do garniaka zresztą zmusił i mnie, mówiąc, że teraz będzie nas pełno w telewizji i wszędzie i musimy jakoś, cholera, wyglądać. Nie

protestowałem. Wziąłem grzecznie swoją część pieniędzy i kupiłem, co trzeba, a nawet troszkę więcej, bo chciałem zaimponować dziewczynie w sklepie.

Tydzień później dostaliśmy mejlem książkę w PDF-ie, już po składzie, wraz z projektem okładki. Wydawnictwo dorwało gdzieś zdjęcie papieża jedzącego buritos i wkomponowało je w takie marmurkowo-łososiowe tło. Na górze tytuł „Gotuj z papieżem”, pod spodem autorzy, czyli papież i wujo. My z Robalem dopiero w stopce jako właściciel praw (on) i redaktor całości (ja). Wszystko tak jak się umówiliśmy – żadnych powodów do narzekań.

Potem kampania reklamowa, billboardy, zajawki w telewizji i w gazetach. Któregoś dnia zadzwoniła z pretensjami mama Robala, że im nic nie powiedział o zapiskach, tylko sam się pławi w spadkowym bogactwie – gazet co prawda kobieta nie czyta, w telewizji ogląda tylko seriale, ale ksiądz z ambony powiedział, no to zadzwoniła. Full wypas, mówię wam. Kampania lepsza niż ta Dana Browna.

A potem, dziewiętnastego października, książka wyszła do księgarni, z miejsca stając się – a jakże – bestsellerem.

\*\*\*

Niecałe trzy tygodnie później taki obrazek: Robal w progę, na nim garniak, przez łapę przewieszony elegancki płaszcz. Ja przy lustrze staram się szczotką doprowadzić do ładu szopę na głowie. Umywarka pełna włosów z mojej brody, na szklanej tafli zasychające kropelki śliny zmieszanej z pastą do zębów...

– Skończyłeś? – Robal zerknął na zegarek wart prawie tyle, co stojący na biurku laptop. – Nie będą na nas czekać.

– Jeszcze chwila. – Sięgnąłem po dezodorant i psiknąłem z dystansu po koszuli i połach marynarki. Ostrożnie, by nie zostawić wilgotnych plam. Potem przetarłem palcem zęby, sprawdzając, czy nie ma osadu. Wszystko grało, wyglądałem... względnie. – Dobra, chodźmy.

Wyszliśmy przed akademik, gdzie już czekała na nas taksówka. Ostatnio, gdy jechaliśmy gdzieś razem, to wszędzie taksą. Mnie to średnio bawiło, nadal wolałem autobusy, ale Robal jak zwykle postawił na swoim – że coś mu się, kurwa, wreszcie od życia należy.

Zapakowaliśmy się do srebrnego merca i pojechaliśmy do centrum, gdzie dwie godziny później w studiu telewizji regionalnej mieliśmy mieć wejście na żywo, do tego na cały kraj. Widzieliście kiedyś takie programy, gdzie goście nie mogą dojechać do Warszawy – bo albo nie mają czasu, albo im zwisa – i wtedy obok żywych ludzi stoją telewizory przedstawiające obraz ze studia w Gdańsku czy gdzieś tam? No to właśnie coś takiego miało mieć miejsce dziś – mieliśmy być gośćmi z Katowic.

Cały program o naszej książce! Rany! Robal mało się nie posikał, gdy mu zaproponowali.

Przed budynkiem telewizji czekała na nas młoda dziewczyna w czarnej spódnicy do kolan i eleganckiej białej bluzce. Ciemne włosy miała spięte w koński ogon i wyglądała trochę jak uczennica ogólniaka podczas apelu na zakończenie szkoły. Ładna była, taką prostą, codzienną i wcale nie silikonową urodą. Na szyi miała identyfikator ze zdjęciem, w prawej ręce trzymała dwa podobne dla nas. Ale bez zdjęcia.

– Dzień dobry – powiedziała, wyciągając rękę. – Nazywam się Patrycja Kruszyńska. Cieszę się, że już panowie są.

Spesz yli mnie ci „panowie” – a może jej szczer y i pogodny uśmiech skierowany ewidentnie do mnie – ale jakoś udało mi się nie zrobić z siebie idioty. Przynajmniej nie natychmiast.

– Remigiusz Gwózd ek – przedstawiłem się, ściskając jej dłoń. – A to...

– Robal – mój współlokator wszedł mi w zdanie. – Nazwiska zostawmy na sztywniejsze okazje.

Dziewczyna zaśmiała się, a mnie natychmiast zabol ało serce, bo wiedziałem już, że od tej pory jej uwaga skupi się wyłącznie na Robalu. Zawsze tak, kurna, było.

Ku mojemu zaskoczeniu jednak to ja pierwszy dostałem smycz z wejściówką. Do mnie też skierowane było jej pierwsze pytanie, gdy już weszliśmy do budynku.

– Pierwszy raz w telewizji? – brzmiało.

– W budynku tak – powiedziałem nielekk o speszony. – Ale kiedyś była u nas na uczelni ekipa przy okazji strajku i udzielałem wywiadu. Puścili to potem w „Kurierze”.

Patrycja skinęła głową, a Robal parsknął cicho. Dziś myślę, że może to była jego reakcja na słowo „wywiad”. Wtedy ledwie to zauważyłem.

Gdy wsiedliśmy do windy, przewodniczka wyjaśniała nam, że mamy patrzeć prosto w kamerę, unikać dotykania twarzy – raz, że źle to wygląda, dwa, że może zaszkodzić makijażowi, który zaraz mieli nam nałożyć – uśmiechać się i ogólnie wyglądać na rozluźnionych.

– Tylko nie wyobrażajcie sobie widzów w bieliźnie, jak to się czasami doradza – przestrzegła. – O tej godzinie mogą nas oglądać dzieci.

Ryknąłem śmiechem, a ściany poniosły moje rozbawienie i zaraz dostarczyły je z powrotem mocno nagłośnione echem. Z kilku biur niemal

natychmiast parę zaciekawionych osób wychyliło głowy. Tylko na krótką chwilę, ale i tak poczułem się jak kretyn.

Na szczęście byliśmy już prawie na miejscu.

\*\*\*

I znowu obrazek do wyobrażenia, moi mili. Siedzi dwóch gości w garniakach w telewizyjnym studiu – makijaż na twarzy sprawia, że czują się jak kotlety obtoczone w mące – a wokół nich krążą ludzie, którzy poprawiają im fryzury, wpinają mikrofony i takie tam. Przed nimi ekran pokazujący, co dzieje się w Warszawie, a także oko kamery wyglądające jak HAL 9000 z „Odysei kosmicznej”.

Gdy już przestali mnie obmacywać i ustawiać, zerknąłem na Robal a. Miałem nadzieję, że udzieli mi się choć trochę jego optymizm i pewność siebie, ale mój kumpel i współlnik też nie miał zbyt tęgiej miny. No i, jak to ja, spałem się jeszcze bardziej.

A potem pojawił się chyba reżyser i w kilku słowach powtórzył nam to, co już słyszeliśmy od Patrycji. Wreszcie zapytał, czy jesteśmy gotowi, i dał znak, że wchodzimy za pięć, cztery, trzy...

No dobra, i tu mam trochę dziurę. Cholera, możecie mnie przypalać, topić czy cokolwiek, ale i tak wam nie powiem, jak się to wszystko zaczęło. Znaczy z wyjątkiem jednego czy dwóch szczegółów nie pamiętam nic z pierwszych minut programu. Zwyczajnie wywiało mi je z mózgu.

Wiem, że w studiu w Warszawie siedziało czterech gości: dwóch kucharzy – jeden telewizyjny, drugi z jakiegoś miliongwiazdkowego hotelu, zakonnik, który wydał książkę o przysmakach klasztor nych, i jeszcze jakiś światowej sławy podróżnik. Facet był profesorem antropologii, badaczem i w ogóle człowiekiem miliarda tytułów.

Wyglądał trochę jak David Niven ze starej ekranizacji „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”. Kojarzycie? Cieniutki wąsik tuż nad górną wargą, wysokie czoło i rzadkie włosy starannie zaczesane do tyłu. Miał na sobie trochę staroświecki wełniany garnitur – w zasadzie brakowało mu tylko fajki w zębach i wygodnego fotela, a mógłby reklamować angielskie kluby dla dżentelmenów.

Z początku wszystko szło miło i gładko. Jeśli chodzi o nas, to mówił głównie Robal, najpierw trochę

cicho i niepewnie, ale szybko się rozkręcił. Ja wtrącałem tylko pojedyncze zdanka to tu, to tam, żeby nie wyszło, że jestem wyłącznie wątpliwej jakości ozdobnikiem kolegi.

Kucharze i zakonnik wychwalali większość przepisów zawartych w książce i śmiali się z umieszczonych w niej anegdotek. Z pamięci cytowali też fragmenty papieskich listów, doszukując się w nich symboliki i głębi. Zaraz potem prowadząca poinformowała, że nakład książki osiągnął już prawie cztery miliony egzemplarzy, co znaczyło, że w Polsce kupił ją co dziesiąty obywatel. Przypomniała, że Robal dostał listy w spadku, i zapytała go, jakie to uczucie stać się przypadkowym milionerem.

– Niech mi pani wierzy, że naprawdę zaję...fajne.

\*\*\*

I znowu zapomniałem o czymś wspomnieć. Z chwilą gdy dostaliśmy coś więcej niż zaliczkę, postanowiliśmy z Robalem przenieść się z akademika gdzieś do centrum miasta. Wiecie, wynając jakieś mieszkanie, gdzie nikt nie sprawdza gości na wejściu, a każdy ma osobny pokój i kibel

bliżej niż w połowie korytarza.

Mówi się, że trudno dziś znaleźć mieszkanie, ale oczywiście to zależy przede wszystkim od tego, jak bardzo cyckasz się z kosztami. My byliśmy gotowi dać dwa patole za miesiąc na pół roku z góry, więc bazę znaleźliśmy z miejsca. Właściciele mieszkania właśnie wyjeżdżali na roczny kontrakt do Stanów; lokal zostawiali w full wypasie, z plazmą, klimą i dzwonkiem do drzwi grającym „We will rock you”... Mieliśmy się tam z Robalem wprowadzić z końcem tygodnia.

Dlaczego o tym wspominać? Zaraz się dowiedziecie.

\*\*\*

W przeciwieństwie do pierwszej części programu drugą pamiętam wyśmienicie. A zaczęła się ona od krytycznej uwagi zakonnika odnośnie do nieprzetłumaczonych nazw niektórych składników.

Robal oczywiście z miejsca wyjechał ze standardową gadką dla redaktorów, że liczy się również wartość historyczna, literacka, a nie tylko kulinaria i...

...i wtedy do rozmowy wtrącił się profesorek. Mam wrażenie, że w ogóle po raz pierwszy zabrał głos. Wcześniej tylko uśmiechał się tajemniczo, składając ręce w piramidkę nad nogą założoną na nogę.

– W rzeczy samej, jeśli pozwolą państwo, że się wtrączę – powiedział głosem niskim jak miłościwie nam panujący prezydent. – W rzeczy samej, tekst książki przedstawia wartość nie tylko kulinarną. Wiele nam bowiem mówi o obyczajach Jana Pawła II. Odkrywa jego nieznaną stronę. Mroczną, dodajmy.

Na to, co nastąpiło w studiu, mówi się obecnie „zawieszenie

Matriksa”. Kojarzycie termin, prawda? Wszystko zamiera w bezruchu i nawet krople potu przestają spływać po twarzach – jak na zdjęciach.

Tylko profesorek najwyraźniej bawił się w najlepsze. Sięgnął za fotel i wyciągnął skórzaną teczkę. A z niej egzemplarz naszej książki naszprycowany zakładkami.

– Pozwólcie państwo, że przytoczę krótki fragmencik jednego z papieskich listów.

Przetarł oczy, otworzył książkę na pierwszej zakładce – miała nadruk z kotem Garfieldem w urodzinowej czapeczce – i zaczął czytać:

*Przyrzęczenie, kochany Tadeuszu, potrawy według ostatniego z podanych przez Ciebie przepisów przysporzyło mi ogromnych trudności. Zwłaszcza jej główny składnik, czyli pixii'gai, jest nie do zdobycia w całych Włoszech i musiałem go dyskretnie sprowadzić z Ameryki Południowej, czyli z miejsca, gdzie i Ty byłeś...*

Przerwał i popatrzył po zebranych w studiu, jakby już wszystko wyjaśnił i teraz czekał na aplauz. Ale

to oczywiście było dopiero przed nim.

– Tak się składa, szanowni państwo – podjął po chwili przerwy – że kiedyś przyszło mi spędzić w amazońskiej dżungli prawie osiem lat. Studiowałem kulturę Indian Piraha, ich język, zwyczaje, wierzenia...

Pewnie się państwo nie orientują, ale język Piraha wywodzi się z językowej rodziny Mura i do niedawna uważany był za jedyny wciąż żyjący. Między innymi za sprawą moich badań udało się odkryć, że to nieprawda.

W tym momencie prowadząca chciała go uciszyć, ale profesorek się nie dał. Uniósł do góry palec, jakby sugerował, że jeszcze tylko jedno zdanie i wszyscy zrozumieją, o czym mówi. W rzeczywistości potrzebował na to troszkę więcej.

– W głębi amazońskiej dżungli, podobnie jak Piraha, nad rzeką Maici zamieszkuje również liczące około dwustu członków plemię nazywające siebie Xaitiiso, i właśnie z ich języka pochodzi słowo „pixii’gai”. A oznacza ono ni mniej, ni więcej, a ludzkie żebra! Wtedy, wyobraźcie sobie, zemdlałem.

\*\*\*

Ocknąłem się dopiero w naszym nowym mieszkaniu. Leżałem na skórzanej kanapie w pokoju gościnnym, Robal siedział w fotelu naprzeciwko, a ktoś trzeci krzątał się w kuchni. Nie chciało mi się podnosić i patrzeć, kto to taki. Myślałem tylko o tym, żeby nie puścić pawia.

– Co się stało? – zapytałem, mając na myśli czas od momentu, gdy byłem nieprzytomny.

– W dupie jesteśmy, to się stało – odparł Robal. – Zrobiliśmy z papieża pierdolonego kanibala na oczach milionów widzów!

Potem streścił mi pokrótce dalszy przebieg programu.

Jeśli dobrze go rozumiałem, po hasle o żebkach tak kucharze, jak i zakonnik najpierw nie wiedzieli, co zrobić, a potem zareagowali oburzeniem i krzykami. Mało brakowało, a doszłoby do rękoczynów.

Profesorek mimo oczywistego zagrożenia zachował spokój, odpowiadając na wykrzyczane zarzuty kolejnymi cytatami. Okazało się, że każda zakładka w książce oznaczała właśnie potrawy z ludzi – tak jakby od

pewnego momentu wujo podróżnik zajmował się już wyłącznie kolekcjonowaniem kulinarnych zapisków kanibali ze wszystkich niemal stron świata. A my, kretyni, niczego nie zauważyliśmy!

Coś, pewnie garnek, z brzdękiem uderzyło o kuchenną podłogę, dobiegło mnie też stłumione przekleństwo wymówione ciepłym kobiecym głosem.

– Kto tam jest? – zapytałem. Robal wzruszył ramionami.

– Ta dziewczyna, co nas wprowadzała. Miała samochód i zgodziła się nas odwieźć. Pomogła też nieść przez korytarz twoje zwłoki.

To ostatnie podkreślił, zapewne po to, by wzbudzić we mnie poczucie winy. Nie wyszło mu – jeśli już, to czułem się bardziej jak ofiara. Ani chybi sam Karol „Santo subito” Wojtyła postanowił nas ukarać za oszustwo i próbę nabijania kabzy jego kosztem. Ukarać, dodajmy, zdecydowanie niewspółmiernie do przewinienia.

Podniosłem się, odrzuciłem na bok koc i w tym samym momencie do pokoju weszła Patrycja, niosąc żaroodporne naczynie z zapiekanką. Pomyślałem, że nie było ze mną dobrze, skoro spałem na tyle długo, że zdążyli mnie tu dowieźć i jeszcze przyrządzić obiad. Ale nic nie powiedziałem.

– Wstałeś w samą porę, zaraz przyniosę talerze. – Patrycja uśmiechnęła się miło i widząc nasze miny, szybko dodała: – No już, nic się takiego nie stało! Przecież to nie wasza wina, że tak wyszło. Wy to tylko wydrukowaliście, nie? Chcieliście dobrze i nikt was nie będzie winił.

– Powiedz to moherom – mruknął Robal. – Spalą nas na stosie, gdy tylko znajdą. Po mnie zostanie wyłącznie ten bajerancki zegarek.

Tak, dokładnie tak powiedział. To taki typ, wiecie, który nigdy nie przepuści okazji, by się czymś pochwalić. Trzeba mu jednak przyznać, że tym razem mógł mieć rację. Jego wypaśny zegarek wytrzymał temperaturę tysiąca stopni. On sam troszkę mniej.

– Nic wam nie zrobią. – Patrycja odłożyła naczynie na stół. – Wystarczy, że na jakiś czas znikniecie, i tyle z tego będzie. Ta cała sprawa z kanibalizmem brzmi tak niedorzecznie, że nie ma prawa być prawdziwa. Ludzie w tym kraju nie są aż tak głupi, nie kupią tego.

Jeszcze raz się uśmiechnęła, po czym odwróciła się na pięcie i wróciła do kuchni. Już stamtąd zapytała:

– Co chcecie do picia?

Wódki, pomyślałem.

– Coli – powiedziałem na głos. W końcu, jak mawiał mój tata, na topienie problemów zawsze jest czas później.

W naszym przypadku owo „później” nadeszło w porze wieczornych „Wiadomości”.

\*\*\*

Siedzieliśmy we trójkę na kanapie. My po bokach, Patrycja w środku. Włączyliśmy telewizor nieco za wcześnie, licząc na TVN-owskie „Fakty”, ale póki co kosmiczna plazma w naszym mieszkaniu wyświetlała tylko jedynekę, dwójkę i region, więc obejrzeliśmy końcówkę dobranocki i pakiet reklam po niej.

Właściwie nie wiem, czemu Patrycja z nami została. Zapytała, czy może, Robal nie protestował, a i ja – szczęśliwy, że nareszcie jakaś dziewczyna zwraca na mnie uwagę – zaprezentowałem postawę ostrożnie

entuzjastyczną. Nie chciałem w końcu wyjść na jakiegoś napaleńca, rozumiecie.

Wreszcie się zaczęło. Odliczanie zegara z widokiem na jakieś miasto, potem czołówka z muzyką Rubika i tadam, presterka ogłaszająca newsy dnia.

Dobra, przyznaję, że ustąpiliśmy zamachowi na premiera w Afganistanie, ale nieznacznie. Do tego – jakieś przerażające poczucie dumy każe mi to podkreślić – materiał o „Gotuj z papieżem” był o jakieś dwie minuty dłuższy. I zdecydowanie bardziej zróżnicowany.

Najpierw pokazano księgarskie półki i opowiadano trochę o naszej książce. Potem fragment archiwalnej ulicznej sondy, już kiedyś emitowanej, w której ludzie wyśmiewali bądź chwalili pomysł publikacji. Głosów prawdziwie krytycznych nie było żadnych.

Następnie na ekranie pojawiło się warszawskie studio z dzisiejszego programu i wypowiedź profesorka o ludzkich żebrach. A może żeberkach – w końcu tak danie z mięsa klatki piersiowej nazywa się w każdym menu...

Wreszcie przyszła pora na krótki opis osiągnięć naszego wroga – tak aby nikt nie pomyślał, że to tylko tania prowokacja jakiegoś „pana nikt”.

Newsa kończyła wypowiedź arcybiskupa domagającego się oryginalnych zapisków papieża i poddania ich ekspertyzie grafologów. Jakby wcześniej ich nie dostali, dranie! Całe wydarzenie nazwał, a jakże, ohydłą prowokacją.

– Ja myślę, że to jednak nadinterpretacja tego profesora – stwierdziła nasza nowa koleżanka głosem równie pogodnym i rezolutnym jak dotąd. Była teraz prawdziwą kruszyną radości wciśniętą pomiędzy dwie skały strachu i wyrzutów sumienia. – Może i sobie jest ekspertem, ale ci też się przecież mylą. To niemożliwe, żeby papież...

– Tak, to zupełnie niemożliwe – stwierdziłem stanowczo, wchodząc jej w zdanie. Chyba nie chciałem już więcej słyszeć słowa „kanibal”. – Więcej nawet, wiemy, że to nieprawda. I nie możemy pozwolić, by ludzie tak o nim myśleli.

Robal odwrócił się gwałtownie i spojrział na mnie.

– Ty! Co ty, kurwa, kombinujesz, hę?!

– Zamierzam iść i się przyznać. – Wzruszyłem ramionami, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. – Powiemy, co zrobiliśmy, a potem, że zaszła pomyłka. To powinno zamknąć sprawę.

Żebyście wtedy widzieli Robala! Wyglądał, jakby się wahał, czy najpierw ma zabić mnie, Patrycję – jako potencjalnego świadka – czy może złapać nas oboje za łby i tłuc nimi o siebie, aż wypłyną mózgi. Podobne myśli ma pewnie szef gangu zdradzony przez swoich ludzi, gdy tylko zaczyna się robić gorąco.

A potem Patrycja zapytała:

– Możecie mi wyjaśnić, o co chodzi?

\*\*\*

Trzeba jej przyznać, że przyjęła wszystko spokojnie. Wyraz jej twarzy nie zmienił się zasadniczo przez cały czas, gdy opowiadałem, nie zadawała dodatkowych pytań – słuchała tylko uważnie. Pomyślałem nawet, czy ta dziewczyna nie jest naszą bratnią duszą albo kimś w tym stylu. Powód jej spokoju był jednak bardziej prozaiczny.

– Nie wierzę – stwierdziła, gdy skończyłem mówić. – To zwyczajnie niemożliwe.

– Znaczy co? – nie zrozumiał Robal. – Że dostałem spadek? Że mój wujko znał papieża? Czy że zbierał przepisy od kanibali?

Mówił bardzo nieprzyjemnym tonem, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie popiera pomysłu wciągania do sypiącego się planu osób postronnych, takich jak nasza nowa koleżanka.

Patrycja jednak na to nie zważała.

– Nie – odparła tym samym co wcześniej rezolutnym głosem. – Zwyczajnie nie wierzę, by udało się wam tak doskonale podrobić pismo, by oszukać grafologów. Pomagałam kiedyś przy reportażu o fałszerzach i wiem, że analiza charakteru pisma...

Przerwała wystraszona, gdy pochyliłem się gwałtownie i sięgnąłem ponad jej kolanami do leżącego na biurku notesika. Wyrwałem z niego dwie kartki i jedną z nich podałem dziewczynie.

– Masz jakiś długopis? – zapytałem.

Miała. W końcu, kurczę, dziennikarka.

– Więc podpisz się na tej kartce imieniem i nazwiskiem.

Popatrzyła na mnie zdziwiona, ale wzruszyła ramionami i zrobiła, o co ją poprosiłem. Potem oddała mi kartkę i długopis.

Przez chwilę przyglądałem się krągłym, nabrzniałym jak dojrzałe owoce literom, niedomkniętym ogonkom „y”, starannemu „t” i wielkiemu „K”. A potem wziąłem drugą kartkę i z miejsca skreśliłem identyczny podpis.

No nie dziwcie się tak, miałem przecież ułatwione zadanie – mogłem zobaczyć nie tylko jej pismo, ale i to, jak pisze. Widziałem wyraźnie ustawienie łokcia, układ palców na długopisie – a ocenić na tej podstawie nacisk to już banał. Potem wystarczyło obserwować, w którą stronę stawia

litery, i uzupełnić to szczyptą niedowierzania, odrobiną rezolutnej wesołości. No sami przyznacie, że proste, prawda?

Oczywiście nasza nowa koleżanka dostrzegła milion różnic, wystarczyło jednak, że zamieszałem kartki za plecami, a już straciła wcześniejszą pewność. Popatrzyła na mnie z mieszaniną lęku i podziwu.

– Jasna cholera! – powiedziała.

– No właśnie – odparłem. – Więc teraz wiesz już chyba wszystko. Co zamierzasz z tym zrobić?

Powoli wstała i podeszła do torebki. Wciąż patrząc na mnie w ten sam sposób, wyciągnęła telefon i wybrała numer. Robal co prawda rzucił się do niej, ale powstrzymałem go, łapiąc za ramiona. To był chyba pierwszy raz, gdy mu się postawiłem.



Patrycja tymczasem przyłożyła słuchawkę do ucha i stała tak przez chwilę, klepiąc palcami o oparcie kanapy.

– No cześć, mamó – powiedziała wreszcie. – Dzwonię ci powiedzieć, że nie wrócę dziś na noc... Nie, wszystko w porządku... Tak, będę o siebie dbała, zawsze to robię... Całuję... Pa.

Rozłączyła się i spojrzała na nas.

– Dobra, to gdzie mogę spać?

No nie zgadniecie, o czym wtedy pomyślałem!

\*\*\*

Następnego dnia wcale nie było lepiej ani spokojniej. Przeciwnie nawet.

Chcąc zadzwonić, przypadkiem zorientowaliśmy się, że wyciszona komórka leżąca w kieszeni płaszcza Robala ma na liczniku kilkaset

nieodebranych połączeń. Skrzynka z SMS-ami, do niedawna prawie pusta, teraz była wypełniona do ostatniej wiadomości. I wszyscy chcieli się koniecznie spotkać. Natychmiast!

W telewizji wczorajsza rewelacja stanowiła hit dnia. Dyskutowano nad tym we wszystkich niemal programach publicystycznych. W „Wiadomościach” mówiono o stanowczej reakcji Watykanu i polskiego episkopatu, które jednym głosem sprzeciwiły się ohydnyemu zabiegowi mającemu na celu zbrukanie dobrego imienia wielkiego Polaka i świętego męża. Prymas wspomniał coś nawet o ekskomunikowaniu prowokatorów, jeśli tylko należą do Kościoła katolickiego. Zważywszy na okoliczności, chyba nic głupszego nie mógł powiedzieć.

W prasie podobnie. We wszystkich dziennikach, które Patrycja znalazła w kiosku, sprawa kanibalizmu papieża zajmowała pierwszą stronę. A w „Fakcie” było to niemal pół numeru. Mówię wam, szopka, jakich mało!

Żeby nie było wątpliwości – to wcale nie tak, że wszyscy protestowali. Niemal natychmiast odezwało się środowisko akademickie, nie tylko rodzime, broniąc to dobrego imienia profesorka, to znów – gdy wypowiadał się na przykład językoznawca czy antropolog – jego ogłoszonej w programie rewelacji.

Fakt jest jednak faktem, że w porównaniu ze słuchaczami Radia Maryja – nagninnie palącymi nasze książki na stosach – owi obrońcy wypadali blado i niemedialnie. Przedpołudnie pierwszego dnia zdecydowanie nie należało do nich.

(...)

# Spis treści

[Od Autora](#)

[Gotuj z papieżem](#)

Pokój pełen cienia

Miejsce, które jest

Związek idealny

Newegwasu'u

Dom na wzgórzu

Szarość

Grzechu warte

Smutni

Album